

Muszę siebie prowokować
z Katarzyną Kozyrą
rozmawia Jacek Michalak

Jacek Michalak: W dzieciństwie bawiła się Pani lalkami czy samochodzikami?

Katarzyna Kozyra: I lalkami, i samochodzikami. Marzyłam też o garażach, choć jak się teraz dłużej zastanawiam, to nie wiem, czy tych garaży nie wymyśliłam sobie później, gdy już nie byłam małą dziewczynką.

J.M.: Od kiedy pamięta Pani swoje dzieciństwo?

K.K.: Pierwsze, co pamiętam, wiąże się ze Świątami Bożego Narodzenia i towarzyszącą im choinką. Myślę, że miałam wtedy 2 lub 3 lata. Ta pierwsza choinka była super. Pamiętam, że następne Świąta Bożego Narodzenia nie były już tak fajne, rodzice coś gorzej przygotowali, choinka nie była tak duża jak ta rok wcześniej, było mniej prezentów.

J.M.: Ma Pani o 3 lata młodszą siostrę. Co Pani pamięta z chwili, gdy się pojawiła? Pamięta ją Pani, jak była mała?

K.K.: Nie, nie pamiętam. Tak się złożyło, że ja wychowywałam się w Austrii, a siostra wraz z babcią mieszkała wtedy w Warszawie. Siostra pojawiła się w moim życiu, gdy miałam około 7 lat, a ona 4 lata. Pojawienie się siostry w moim życiu dobrze pamiętam, byłam oczywiście zazdrosna. Zanim się pojawiła, żyłam jak jedynaczka, a tu nagle nastąpiła zmiana. Myślę, że ojciec to jej pojawienie się w moim życiu źle przygotował.

J.M.: Początek relacji z siostrą był nie najlepszy. Jak było później?

K.K.: Siostra była moim przeciwieństwem, była grzeczna, spokojna i współczująca. Po trudnych początkach nasza relacja ułożyła się dobrze. Dzisiaj siostra pomaga mamie.

J.M.: Po maturze zaczęła Pani studiować germanistykę. Czemu nie wybrała Pani ASP?

K.K.: Chciałam studiować w ASP. Kończąc szkołę średnią, niezbyt wierzyłam w siebie, w swoje umiejętności. Myślałam o studiach na ASP, ale ktoś mi powiedział, że muszę jeszcze dużo pracować, aby zawartość teczki, którą złożę na egzaminach wstępnych, dawała szansę na przyjęcie na studia. W tej sytuacji spasowałam. Germanistyka była dla mnie prostym wyborem.

J.M.: Na ASP dostała się Pani za pierwszym razem?

K.K.: Tak. Przygotowałam się naprawdę dobrze do egzaminów wstępnych.

J.M.: Czemu wybrała Pani rzeźbę?

K.K.: W wyborze kierunku studiów pomógł mi mój ówczesny chłopak, który był rzeźbiarzem. On mi też pomógł w przygotowaniu do egzaminów wstępnych. Dodatkowo rzeźbę chciało studiować mniej osób niż inne kierunki. To także wzięłam pod uwagę, wybierając kierunek studiów.

J.M.: Po studiach nie zajęła się Pani jednak rzeźbą.

K.K.: Tak, ale chcę powiedzieć, że rzeźbiłam zawzięcie akty, lubiłam rzeźbić. Czasami sobie myślę, że mogłabym coś w życiu jeszcze wyrzeźbić. To byłby numer: Kozyra rzeźbi. Mówiąc o moich studiach, ważne jest, aby powiedzieć, że skończyłam rzeźbę, ale Grzegorz Kowalski uczył wszystkiego, co jest potrzebne artyście. Myślę, że to wszystko, czego uczył Grzegorz, ma zastosowanie w malarstwie, choć ja tego nigdy nie sprawdzałam. Jego zajęcia uczyły wycucia formy wizualnej.

J.M.: Wspólnie z Panią, u Grzegorza Kowalskiego, na tym samym roku studiował Paweł Althamer. Dyplomantami Profesora Kowalskiego było wielu wybitnych artystów. Czy ma Pani kontakt z innymi koleżankami i kolegami z pracowni Prof. Grzegorza Kowalskiego?

K.K.: Przed 2004 rokiem miałam w miarę kontakt z koleżankami i kolegami. Na roku było nas 15 osób. Przez ostatnią dekadę te kontakty się bardzo rozluźniły. Kontaktuję się ciągle z Jackiem Markiewiczem, Moniką Osiecką i Jackiem Malinowskim.

J.M.: Jaka jest Pani relacja z Prof. Grzegorzem Kowalskim?

K.K.: Przyjaźnimy się. Nasza znajomość zmieniła się w przyjaźń po zrobieniu przeze mnie dyplomu. Chcę jednak zaznaczyć, że Grzegorz Kowalski jest przyjacielem swoich studentów.

J.M.: Od ukończenia przez Panią warszawskiej ASP minęło ponad 20 lat. Jak po tylu latach wspomina Pani tę uczelnię?

K.K.: Tragicznie.

J.M.: Czemu?

K.K.: Z jednej strony towarzysko było super, szybko wyłoniła się grupa fajnych ludzi, byliśmy ze sobą związani, wspieraliśmy się twórczo, powstała naprawdę ciekawa wspólnota młodych, kreatywnych ludzi wzajemnie się inspirujących. Z drugiej zaś struktura szkoły była skostniała, część wykładowców była sztywna, wiele zajęć niewiele dawało, chyba były zbędne.

J.M.: Nie myślała Pani o uczeniu? Nie chciałyby Pani podzielić się swoją wiedzą z młodymi ludźmi?

K.K.: Kiedyś myślałam o tym, żeby uczyć i myślę, że w przyszłości będę uczyć. Mam nadzieję, że w przyszłości ucząc, będę w stanie pomóc studentom, ale jeszcze nie teraz. To, co robię, wymaga zaangażowania się na sto procent, zawsze tak ze mną było. Realizując projekt, wchodzę w niego, śni mi się po nocach, często nie jestem w stanie oderwać się od tego, co robię. Nie wyobrażam sobie w trakcie realizacji projektu być w stanie pomóc młodym ludziom, dobrze pamiętam, ile problemów miałam sama jako studentka. Niedawno znajoma przyjechała z grupą kilkunastu studentów z Niemiec – ile oni mieli problemów, oczekiwali na wskazanie rozwiązań, a ich nie ma. Ponadto ASP jest ciągle skostniała, nie aż tak wiele się zmieniło od czasu, gdy ja studiowałam. Tak więc muszę poczekać, aż się nieco zmieni w szkolnictwie artystycznym. Poza tym mam co robić, jeszcze nie wyeksploatowałam obszarów, które mnie interesują.

J.M.: Miała Pani propozycję uczenia ze strony ASP?

K.K.: W zasadzie nie, nie miałam konkretnych propozycji.

J.M.: Zmieńmy nieco temat naszej rozmowy. Czy ze sztuki da się żyć?

K.K.: Raz myślę, że tak, a innym razem, że nie. Boję się powiedzieć tak, gdyż odpowiadając na to pytanie, teoretyzuję. Mój przypadek jest szczególny. To, co robię, nie daje możliwości przeżycia bez innych przychodów. Ja, relatywnie, małą liczbę prac stworzyłam, proces powstawania moich projektów jest długi, moje prace powstają sekwencyjnie.

J.M.: Czy zniszczyła Pani kiedyś swoją pracę, bo nie była z niej Pani zadowolona?

K.K.: Nie, nic nie zniszczyłam. Jak wspomniałam, stworzyłam małą liczbę prac. Mam na koncie 2 lub 3 prace mniej udane, nie były one do końca przemyślane, ale ich nie zniszczyłam.

J.M.: Czy dzisiaj Pani wierzy w to, co Pani robi?

K.K.: Tak. Z dzisiejszej perspektywy mogę powiedzieć, że miałam szczęście w życiu. Moje życie tak się ułożyło, że robiłam i dalej robię to, co mnie interesuje. Nie tworzyłam i nie tworzę pod presją finansową.

J.M.: Wyróżnienie honorowe Łaźni męskiej na 48. Międzynarodowym Biennale Sztuki w Wenecji w 1999 roku dało Pani status gwiazdy.

K.K.: Ja to widzę inaczej. Ta nagroda spowodowała, że zaakceptowano to, co robię.

J.M.: Odnoszę wrażenie, że Pani specjalnie nie dbała i nie dba o to, co inni o Pani powiedzą.

K.K.: Nigdy nie miałam czasu na to, by myśleć co inni powiedzą. Odpowiadając wprost na pytanie: tak, to prawda. Robię to, co mnie interesuje, taka sytuacja trwa od mojego dyplomu, od Piramidy zwierząt. Przygotowując pracę dyplomową, byłam nią tak pochłonięta, że zwyczajnie nie byłam w stanie nic innego robić. Ponadto tworząc pracę dyplomową, byłam za młoda, za mało doświadczona, za szczerą, za bardzo zaangażowaną, za bardzo w to wszystko wkręcona, aby istniała inna opcja niż Piramida zwierząt. Poza tym, jak się nie ma wyboru, to jest prościej, a ja zawsze wchodzę na całość w swoje projekty.

J.M.: Po maturze nie wierzyła Pani we własne siły, dzisiaj jest inaczej, jest Pani zadowolona z sie-

bie, ze swoich dokonań.

K.K.: Absolutnie, jestem zadowolona z tego, co osiągnęłam, z tego, w jaki sposób to osiągnęłam. Nie mam sobie specjalnie nic do zarzucenia, zawsze starałam się być uczciwa, uczciwie podchodzić do swojej twórczości, do swojej pracy. Mam nadzieję, że w przyszłości będzie tak samo.

J.M.: Pani kolejne projekty są inne od poprzednich. Pracując, jak to Pani określiła, sekwencyjnie nie grozi Pani rutyna.

K.K.: Tak, na sto procent nie grozi mi popadnięcie w rutynę. Zmieniam tematy, zmieniam formę, a to pociąga za sobą konieczność zmiany współpracowników. Praca z nowymi osobami przy nowych tematach zawsze jest ciekawa.

J.M.: Są jednak wokół Pani osoby, z którymi współpracuje Pani od dawna.

K.K.: Tak, ale tylko dwoje: Miras, który od zawsze montuje to, co robię i Klaudia, która projektowała parę moich katalogów, reszta zaś się zmienia, moje projekty się zmieniają. Spójrzmy tylko na moją najnowszą pracę Szukając Jezusa. To już nie wideo, to film dokumentalny, w którym przeprowadzam wywiady z ludźmi, zajmuję się pracą redakcyjną. Realizując ten projekt, cztery razy byłam w Jerozolimie, co prawda każdy wyjazd był przygotowany, ale tylko w takim zakresie, w jakim mógł być przygotowany. Nigdy nie wiedzieliśmy, kiedy i kogo spotkamy, czy uda się nam ze spotkanymi osobami porozmawiać, czy rozmówca zechce otworzyć się na projekt. Z niektórymi napotkanymi osobami nagrałam po kilka godzin wywiadów, a teraz muszę wydobyć z tego esencję, zredukować do 2-3 minut i zrobić to w taki sposób, aby tego nie zepsuć, żeby widz był w stanie właściwie odebrać tę rozmowę. Każdy mój projekt jest inny, czego innego ode mnie wymaga, a w najnowszym wszystko się cały czas zmienia. Po przeprowadzeniu wywiadu, poznaniu osoby i jej historii, spotykam kolejną osobę i okazuje się, że to jest inny przypadek i to wszystko, czego nauczyłam się wcześniej, to czego się dowiedziałam, nie ma zastosowania w następnym przypadku.

J.M.: Czy nie myślała Pani, aby wrócić do którejś ze swoich prac, do jakiegoś z poruszanych tematów? Czy jako osoba perfekcyjna w swoim działaniu nie ma Pani takiej pokusy?

K.K.: Nie, nie ma takiego projektu, do którego chciałabym wrócić. Perfekcjonizm perfekcjonizmem, ale uważam, że wyczerpałam realizowane tematy. Temat musi mnie inspirować, gdy się nim zajmuję. Dzisiaj nie widzę możliwości powrotu do zrealizowanych projektów.

J.M.: Czyli nie będzie Łaźni męskiej 2.

K.K.: Mogłabym jeszcze odwiedzić mykwę, ale zapewne bym tego nie przeżyła. Są artyści, którzy mają jeden temat i kręcą się wokół niego całe życie. To nie mój przypadek. Ja muszę siebie prowokować, stąd nowe tematy, które popychają mnie do działania.

J.M.: Co zamierza Pani robić po skończeniu projektu Szukając Jezusa?

K.K.: Biorę się za film autobiograficzny, nowy projekt, nowy autorski format, nowa sytuacja, z którą do tej pory nie miałam do czynienia. Mam nadzieję, że mnie ten projekt nie przerośnie, nie zabije. Interesuje mnie mój własny autorski format, dlatego tak długo przymierzam się do tego projektu. Muszę stawiać sobie nowe wyzwania.

J.M.: Czemu założyła Pani Fundację Katarzyny Kozyry?

K.K.: Przy wsparciu instytucjonalnym łatwiej jest realizować moje projekty. Potrzebowałam tego. Poza tym moja fundacja pozwala mi realizować projekty, których nie jestem autorką, ale ich tematyka jest mi bliska, uważam ją za ważną. Dla innych artystów moja fundacja jest alternatywną platformą i to jest dla mnie ważne, że mogę ich wesprzeć. W minionym roku za sprawą fundacji zaistniał projekt Komentatorki i to mnie cieszy, szczególnie biorąc pod uwagę, że przestrzeń dla sztuki w Polsce nie jest aż tak duża.

J.M.: W rozmowie z Joanną Ruszczyk powiedziała Pani, że Fundacja Katarzyny Kozyry będzie

robić wystawy, o tym, co robią laski.

K.K.: Nie ma zbyt wielu ciekawych facetów, a kobiety walczą ze sobą i to ostro. Trzeba je więc wspierać.

J.M.: Zgoda, ale jednak używając w mowie potocznej terminu laska, myślimy o atrakcyjnej, zgrabnej, ładnej dziewczynie, definiujemy jej fizyczną stronę. Powiedzieć o kobiecie np. „mimo wieku jeszcze z niej niezła laska” jest OK. OK może być nawet stwierdzenie: „z tej dziewczyny jest niezła laska”. Jednak, gdy chce Pani, aby poprzez działalność Pani Fundacji kobiety były lepiej widziane, lepiej słyszane, a poruszane przez nie tematy dostrzegane, mam wątpliwość, czy określenie laska pomoże. Nie uważa Pani, że takie określanie kobiet odnosi odwrotny od zamierzonego skutek?

K.K.: To nie tak, jak Pan uważa. Jeżeli kobieta o kobiecie mówi laska, to jest to OK, to co innego niż gdy mówi to facet. Określenie laska w ustach mężczyzny nie jest fajne. Inne znane mi kobiety postrzegają to podobnie.

J.M.: Opowiadając się za równouprawnieniem, mam jednak z tym kłopot. Kobiety w wielu sytuacjach muszą być lepsze od mężczyzn.

K.K.: Tak, i do tego muszą znosić to, że są towarem. To się dopiero zmienia, gdy ma się pięćdziesiątkę, i wtedy jest super. Wcześniej jest ciężko, to wkurza.

J.M.: Rozmawiamy przed Pani wystawą w Atlasie Sztuki. Już sam tytuł projektu Szukając Jezusa dla wielu może być sygnałem do działania. W tym miejscu wspomnę jedynie o transparentach z napisem „Precz z Nieznalską”, jakie pojawiły się przed budynkiem Muzeum Narodowego w Krakowie w dniu, kiedy otwierano Pani retrospektywę w tejże instytucji. Czego spodziewa się Pani po swoim najnowszym projekcie? O obawy nie pytam, gdyż wiem, że ich Pani nie ma.

K.K.: Po pierwsze rozmawiamy prawie trzy miesiące przed prezentacją, ciągle pracuję nad projektem i zwyczajnie spodziewam się, że go w pełni opanuję. Po zgromadzeniu całego materiału pracuję nad nim w Warszawie. Mam do wyboru kilka możliwości zmontowania tego materiału, ciągle zastanawiam się, która z dróg jest najlepsza i na tym się w tej chwili koncentruję, chcę zrobić jak najlepszą pracę. Cały czas żyję tą pracą, i tyle. Mam świadomość daty otwarcia wystawy, tę świadomość miałam zawsze i to zawsze na mnie działa mobilizująco. O odbiór pracy się nie obawiam. Ona nie jest skierowana przeciw czemukolwiek, czy też przeciw komukolwiek.

J.M.: Jak scharakteryzowałaby Pani spotkanych „Jezusów”?

K.K.: Jest grupa po przejściu, tych, którzy mieli już rzeczywiście syndrom jerozolimski i są w stanie o nim opowiedzieć z pewnego dystansu. To doświadczenie dało im tak wiele, że znajdują swój własny sposób na życie, kompletnie niepodporządkowany, tak wiele rzeczy im się pootwierало w trakcie tego maksymalnego uwrażliwienia, opowiadają, jak było w trakcie, gdy utożsamiali się z postaciami biblijnymi oraz jak żyją teraz. Druga grupa to osoby, które są w trakcie przechodzenia przez syndrom. I jest trzecia grupa, której być może nie chodzi wcale o syndrom jerozolimski, nigdy im się nie wydawało, że są Mesjaszem, Jezusem czy Prorokiem, tym niemniej czują się powołani, ich misja jest wokół syndromu. Ta ostatnia grupa też jest bardzo interesująca, w końcu to projekt Szukając Jezusa. Psychiatrzy zdefiniowali syndrom jerozolimski, są podane jego symptomy. Jednak te zaburzenia u każdego wyglądają inaczej, choć są oczywiście wspólne cechy.

J.M.: W ubiegłym roku w sierpniu byłem w Jerozolimie. Na VI Stacji Drogi Krzyżowej spotkałem mężczyznę uważającego się za Jezusa. Czy Pani go też spotkała? Czy rozmowa z nim znajdzie się także w Pani projekcie?

K.K.: Ten siedzący na VI Stacji Męki Pańskiej to Jacob. Ja ze swoim projektem nie byłem dla niego interesujący. On czeka na wystąpienie w National Geographic, jego tylko to interesuje,

on czeka na wielką ekipę i miliony potencjalnych odbiorców. Nie zgodził się tak „za darmo” wystąpić w projekcie artystycznym.

J.M.: Nie obawia się Pani, że są też tacy, którzy z syndromu jerozolimskiego uczynili sposób na życie?

K.K.: Tych od razu łatwo rozpoznać. Moim zdaniem wspomniany wcześniej Jacob, którego Pan widział, należy do tej grupy. On co roku przylatuje do Jerozolimy, utrzymuje się z datków, wygląda całkiem dobrze, nosi szaty jak z obrazka, turyści się z nim fotografują, robi całkiem sympatyczne wrażenie, szczególnie na wiernych z Ameryki Południowej. Dodatkowo nagania turystów dla okolicznych zaprzyjaźnionych kafejek i restauracji. Nie ma on jednak niczego interesującego do powiedzenia.

J.M.: Czy wśród tych, którzy przeszli przez syndrom jerozolimski, nie ma cwaniaków?

K.K.: Zdecydowanie nie, w tej grupie nie ma fałszu. To jest tak silne doznanie, że łatwo jest określić, z kim ma się do czynienia.

J.M.: Syndrom jerozolimski, zwany też obłędem jerozolimskim, dotyczy przede wszystkim mężczyzn w wieku 20-30 lat. Doznają go także kobiety. Jak z perspektywy Pani badań przedstawia się to schorzenie u kobiet?

K.K.: Zdecydowanie mniej kobiet niż mężczyzn doświadcza syndromu jerozolimskiego. Kobiety mają też inne misje. Chcę jednak zastrzec, że pomimo wielu spotkanych osób, przegadanych z nimi godzin, nie czuję się ekspertem. Syndrom jerozolimski to bardzo złożony temat. Ziemia Święta zaptadnia wyobraźnię, przyciąga obok całej masy zwyczajnych ludzi, wiernych i niewiernych z całego świata także wiele nietuzinkowych postaci. Wiem, że ten projekt można by kontynuować jeszcze długo.

J.M.: Ile spośród spotkanych osób z syndromem jerozolimskim zgodziło się na udział w Pani projekcie?

K.K.: Na rozmowę zgodzili się prawie wszyscy. Nieliczne wyjątki były już w takich stanach, że rozmowa nie miała sensu. Były to osoby już tak potężone z wyższą istotą, że nie było do nich dostępu. Rozmowa to jedna kwestia, czym innym jest jednak rozmowa nagrywana. W kilku przypadkach nagrywanie rozmowy nie było łatwe, wszystkie te sytuacje były ciekawe. Te osoby nie były generalnie przeciwko nagrywaniu, telewizji czy mediom, one zwyczajnie w tym momencie nie były gotowe na nagrywaną rozmowę. Niektórym ze spotkanych trudno było wytłumaczyć, że nie jesteśmy ekipą telewizyjną, że ja jestem artystką realizującą artystyczny projekt.

J.M.: Poprzez swój projekt pokazuje Pani siłę wiary.

K.K.: Tak. Istnienie osób z syndromem jerozolimskim pokazuje, jak silna jest potrzeba wiary. Syndrom jerozolimski to także dowód na to, jak silna jest w człowieku potrzeba bycia indywidualnością. Realizując ten projekt, spotkałam osoby całkowicie niesformatowane, nieprawdopodobnie ciekawe indywidualności.

J.M.: Czy Szukając Jezusa to już zamknięty projekt?

K.K.: Tak i nie. Zgromadziłam dużo materiału, oczywiście mogłabym nagrywać jeszcze rozmowy z kolejnymi spotkanymi osobami, ale to nie jest już specjalnie odkrywczce. Tak więc projekt jest już praktycznie skończony, ale czuję, że muszę wejść w jeszcze jedno miejsce. Są w nim nie tylko Jezusowie i niekoniecznie muszę jechać do Jerozolimy.

Warszawa, 14 stycznia 2014 roku

Jacek Michalak, kieruje Atlasem Sztuki od początku jego działalności.